

Wojciech Tygielski
Instytut Historii Sztuki
Uniwersytet Warszawski

A GDZIE POLACY?

U schyłku średniowiecza Polacy, rozumiani jako mieszkańcy Wielkopolski, Małopolski oraz Mazowsza, a także Śląska (który jednak w XIV wieku znalazł się poza granicami państwa polskiego), tworzyli wspólnotę języka, pochodzenia, tradycji. Ważnym czynnikiem integrującym, a zarazem ułatwiającym autoidentyfikację było też państwo, jako że wszyscy wyżej wspomniani – przynajmniej do końca panowania Kazimierza Wielkiego – rządzeni byli przez władców z tej samej dynastii piastowskiej.

Utrzymywały się jednak odrębności będące świadectwem zróżnicowania oraz pozostałością rozbicia dzielnicowego. Choć w państwie dominowało możnowładztwo małopolskie, Wielkopolanie starali się bronić swej pozycji w czasie sporów o sukcesję po zmarłym w 1370 roku królu Kazimierzu. Później, jeszcze w XVI i w XVII wieku, obie prowincje miały odrębne trybunały (sądy apelacyjne, w Piotrkowie dla Wielkopolski, a w Lublinie dla Małopolski), a nawet przez pewien czas istniały między nimi odmienności prawne (na przykład przywilej niesza-

wski z 1454 roku został oddzielnie sformułowany dla każdej z prowincji, a istniejące różnice usunięto dopiero w roku 1496). Dodajmy, że ujednoczenie obowiązującego prawa było jednym z postulatów ruchu egzekucyjnego, a więc reformatorskich działań najbardziej świątłych polityków szlacheckich, które – z różnym skutkiem – były podejmowane około połowy XVI wieku.

W miarę upływu czasu następowała jednak unifikacja – zarówno prawa, jak i obyczaju. Postępowała też integracja społeczna – coraz częściej zawierano małżeństwa pomiędzy członkami rodów możnowładztwa wielkopolskiego i małopolskiego. W ślad za tym pojawiło się zjawisko nabywania ziemi w różnych częściach państwa, a nawet piastowania urzędów przez Wielkopolan oraz Małopolan – w sąsiedniej prowincji.

Mazowsze, pozostające we władaniu miejscowych Piastów, weszło w skład Korony (a formalnie Wielkopolski) w kilku etapach: najpierw ziemia gostyńska i rawska (1462), potem sochaczewska (1476) i płocka (1495), wreszcie – czersko-warszawska (1526). Przez pół wieku, do roku 1576, także na tych terenach utrzymywało się jeszcze odrębne prawo. Proces przeniesienia stolicy do Warszawy, zapoczątkowany przez Zygmunta III Wazę pod koniec XVI wieku, przyczynił się do ostatecznego zatarcia mazowieckiego partykularyzmu, choć – co ciekawe – w innych dzielnicach nadal funkcjonował niepochlebny stereotyp mieszkańca Mazowsza.

Podjęte u progu epoki nowożytnej decyzje polityczne i ustrojowe zasadniczo zmieniły kształt terytorialny państwa, a więc także jego etniczną strukturę. Jak się szacuje, około 1500 roku, w ówczesnych granicach państwa polskiego, Polacy stanowili 70% mieszkańców, Rusini 15%, a Niemcy ok. 10%, przy czym na Pomorzu Gdańskim ci ostatni mogli stanowić nawet połowę ludności. Z kolei w województwach południowo-wschodnich Rusini stanowili około trzech czwartych ogółu ludności, natomiast na ziemiach Polski centralnej żywioł polski sięgał zapewne 90% wszystkich mieszkańców. Po zawarciu unii

lubelskiej w 1569 roku Polacy stanowili połowę mieszkańców państwa, a w połowie XVII wieku – po dalszym przesunięciu granic na wschód, w wyniku wojen z Moskwą w pierwszej połowie XVII w. – już tylko 40%.

Z tytułowego „wspólnego nieba”, a więc także ze wspólnej ziemi oraz tego, co mieszkańcom miała ona do zaoferowania, korzystali przedstawiciele wszystkich grup narodowościowych, które w naszym tomie zostały zaprezentowane. Pierwotnym celem tej publikacji – co wydaje się oczywiste – było pokazanie owego zróżnicowania, opisanie jego poszczególnych komponentów, z podkreśleniem ich kulturowego bogactwa, a więc sportretowanie wspólnoty będącej efektem długotrwałego sąsiedztwa. Dodajmy jednak, że konsekwencją tego rodzaju bliskości może być zarówno przyjaźń i współpraca, jak też konflikt, co doświadczenie wielu generacji niestety potwierdza.

Zgromadzone teksty znakomicie dokumentują ową różnorodność, nie tylko ze względu na niemałą liczbę zaproszonych autorów oraz odmienność ich pisarskich koncepcji i temperamentów, lecz przede wszystkim z uwagi na zróżnicowanie opisywanych grup i wspólnot – ich wewnętrznych struktur, migracyjnych motywacji, a także stopnia integracji z miejscowym otoczeniem. Otrzymaliśmy bowiem zbiorowe portrety zarówno grup zamieszkujących „od niepamiętnych czasów” wspólne lub sąsiadujące ze sobą terytoria, jak też charakterystyki typowych mniejszości napływowych, których przedstawiciele z różnych powodów decydowali się na zmianę miejsca zamieszkania – wybierając Rzeczpospolitą jako kraj osiedlenia.

Do pierwszej z tych kategorii, oprócz mieszkańców rdzennej polskiej prowincji, zaliczyć przyjdzie Litwinów oraz Rusinów (Białorusinów i Ukraińców), a być może również Niemców i Żydów, choć w ich przypadku mamy także do czynienia ze zjawiskami typowo migracyjnymi, o różnym zresztą charakterze i chronologii. Warto przeto podkreślić – nawiązując do uwag sformułowanych we Wstępie – że w kontekście takiego

właśnie zróżnicowania szczególnie przydatne okazuje się określenie „w mieszkani” imigranci. Posłużył się nim w swoim szkicu Igor Kąkolewski, zaś Michał Kopczyński i niżej podpisany uznali ten termin za użyteczną kategorię pośrednią pomiędzy „miejscowymi” a „przybyszami”. Przesądziło to ostatecznie o strukturze prezentowanego tomu.

Z pewnością zupełnie inaczej należy bowiem postrzegać obecność „pod wspólnym niebem” Włochów, Szkotów czy też osadników holenderskich (Olędrów i mennonitów), jako grup typowo napływowych, a także – choć to już daleko mniej oczywiste – Ormian i Romów. W dychotomicznym podziale, rozróżniającym ludność „miejscową” oraz typowych imigrantów, z trudem znaleźliby swoje miejsce Tatarzy, a także Karaimi (w ich przypadku – zauważmy – kategoria „w mieszkanych” także ma swoje uzasadnienie).

Grupy typowo napływowe były zasadniczo mniej liczne, ale też bardzo się między sobą różniły. Jedni mieli ograniczony wpływ na pierwotne decyzje dotyczące migracji oraz miejsca swego osiedlenia (choć zdarzało się, że stosunkowo szybko nabierali cech „zasiedzenia”), inni byli w tym zakresie samodzielni; jedni wiązali się trwale z nowym miejscem zamieszkania, wykazując skłonności asymilacyjne, inni preferowali wędrowny charakter bytowania, co na ogół wiązało się z dużą dbałością o zachowanie kulturowej odrębności. Dodać przyjdzie, że przedstawiciele mniejszych grup narodowych, czy też raczej etnicznych, często zamieszkujący regiony peryferyjne, dysponowali ograniczonymi możliwościami artykułowania swoich potrzeb oraz skutecznego zabiegania o grupowe interesy i z tego powodu raczej nie odgrywali znaczącej roli w wielonarodowym państwie, ale też nie stwarzali realnego zagrożenia dla jego struktur.

Zupełnie innego rodzaju grupowanie należałoby przeto zastosować przy rozpatrywaniu sfer aktywności przedstawicieli poszczególnych mniejszości, poziomu ich narodowej świadomości, czy też skłonności do społecznej oraz kulturowej integracji

z otoczeniem, a także – co bardzo ważne – do szeroko pojmowanej polonizacji. Inaczej wreszcie przysłoby porządkować tę zbiorowość z punktu widzenia pozycji materialnej, predyspozycji zawodowych oraz szans kariery w strukturach państwa, czy też właśnie skuteczności zabiegania o interesy grupowe.

Niezależnie jednak od przyjętego punktu widzenia oczywista pozostaje różnorodność podmiotów składających się na wielonarodowościową Rzeczpospolitą, z wszelkimi tego pozytywnymi oraz negatywnymi konsekwencjami. Wśród tych pierwszych na czoło wysuwa się bogactwo kulturowe z samej różnorodności wynikające, wymagające wszelako umiejętności czerpania z tego korzyści, a więc wzajemnego zainteresowania, połączonego z otwartością i tolerancją. Konsekwencje negatywne to, najkrócej rzecz ujmując, liczne płaszczyzny potencjalnych konfliktów wynikających z sąsiedztwa oraz odmienności obyczajowych i religijnych. Konkurencja w sferze gospodarczej oraz społecznej z reguły stawała się ostrzejsza i bardziej zajadła, jeśli istniejące sprzeczności interesów pokrywały się z podziałami etnicznymi i religijnymi. W dłuższym okresie efektem wzajemnych animozji oraz pretensji, których nie potrafiono skutecznie załagodzić przy pomocy reform systemowych, musiało być zmniejszenie spójności państwa oraz osłabienie jego pozycji międzynarodowej, a w końcu utrata suwerenności. Najbardziej chyba drastycznym, a zarazem pouczającym tego przykładem jest historia Kozaczyzny i – ostatecznie niekorzystna dla obu stron – ewolucja jej statusu w obrębie Rzeczypospolitej.

Wspomniany wyżej podział na „przyjezdnych” oraz „miejscowych” (do których zaliczyć przyjdzie także przybyszy już od dawna „w mieszkanych”) może być użyteczny przy próbie oceny wzajemnych relacji grup etnicznych, a także postrzegania ich pozycji w obrębie wspólnego państwa. Sytuacja tych pierwszych wydaje się daleko bardziej klarowna i łatwiejsza do opisu. W przypadku typowych imigrantów możemy bowiem rozpatrywać powody, jakie ich do emigracji skłoniły oraz motywy,

dla których za miejsce osiedlenia wybrali właśnie Rzeczpospolitą. W dalszej kolejności – z powodów czysto poznawczych – zainteresować się powinniśmy przebiegiem procesu ich ewentualnej kulturowej i społecznej asymilacji. Zaobserwowane sukcesy w tym zakresie, lub też ich brak, pozwalają nie tylko zrozumieć intencje oraz strategie życiowe imigrantów, lecz także lepiej poznać społeczność ich przyjmującą, czyli drugą stronę kulturowego dialogu. Dzięki temu nasza wiedza na temat realiów społecznych, gospodarczych i politycznych, w których przyszło przybyłym funkcjonować, staje się pełniejsza.

W przypadku „miejscowych”, którzy w wyniku historycznych procesów oraz konkretnych decyzji o charakterze politycznym utworzyli w miarę jednolity organizm państwowy lub też znaleźli się w jego obrębie, sytuacja badawcza jest daleko bardziej skomplikowana. Z jednej bowiem strony reprezentantów owych grup traktować należy jako współgospodarzy określonego terytorium, z drugiej zaś odnotować przyjdzie oczywistą asymetrię istniejącego partnerstwa. Wyraźnie różny był też poziom narodowej świadomości poszczególnych grup oraz całych społeczności. Wzajemne relacje podstawowych segmentów społeczeństwa, wyodrębnionych wedle kryterium narodowościowego, muszą przeto być traktowane jako centralny przedmiot historycznej debaty i – obok podziałów stanowych oraz religijnych – zasadniczy element opisu badanej rzeczywistości.

Nie ulega więc wątpliwości, że w zaproponowanej formule edytorskiej pojawić się musi pytanie o Polaków, gdyż ich miejsce w tak skonstruowanym kontekście narracyjnym wcale nie jest oczywiste. Jeśli bowiem mówimy o „innych narodach” zamieszkujących wspólną Rzeczpospolitą, to w takim ujęciu jako oczywiste założenie przyjmujemy dominację żywiołu polskiego oraz jego „pierwotny” charakter, a zatem nadrzędność w obrębie państwa. Jeśli natomiast to samo państwo określimy mianem „wielonarodowego”, Polacy staną się tylko jednym

z jego komponentów; być może najważniejszym, ale jednym z wielu.

Nie jest to, niestety, dylemat czysto akademicki, ani też jedynie historiograficzny. Na rozstrzygnięcia o charakterze badawczym i intelektualnym wpływa bowiem współczesna polityka, a dokładniej: aktualny stan naszych relacji z sąsiednimi państwami, gdzie konstruowane są odmienne wizje historyczne. Mamy przy tym do czynienia z podwójną zależnością. Charakter koegzystencji w przeszłości oddziałuje na teraźniejszość, zaś sposób postrzegania i opisywania wzajemnych historycznych powiązań traktowany bywa jako swoista deklaracja światopoglądowa. Z drugiej strony, współczesne relacje wpływają na sposób postrzegania przeszłości.

Powyższe uwagi dotyczą przede wszystkim sąsiadów zza wschodniej granicy, jako że sąsiedztwo od strony zachodniej w interesującym nas okresie – wyjątkowo – nie stwarzało większych problemów, ani też nie generowało konfliktów. „Niemcy całe są pokryte związkami, traktatami i przymierzami z naszym Królestwem i spodziewamy się, że zapewne w przyszłości [...] nasze sprawy w Książętach Rzeszy znajdą pomoc i schronienie, i to nie tylko w rzeczach pomyślnych i zgodnych z naszą chęcią, lecz także we wszystkich kłopotach” – mówił podczas pobytu w Lipsku, 18 lipca 1573 roku, Jan Herburt, kasztelan sanocki, jeden z posłów polskich udających się do Paryża po Henryka Walezego. W słowach, które polski dyplomata kierował do Augusta księcia Saksonii i jego najbliższych współpracowników, bez wątpienia było sporo dyplomatycznej retoryki, ale w dużym stopniu oddawały też one stan rzeczywistości.

Przełomowy moment w dziejach Rzeczypospolitej z pewnością skłaniał do formułowania nowatorskiej wizji stosunków międzynarodowych. Jednak Niemcy – wtedy politycznie rozdrobnione, osłabione wojnami religijnymi w wieku XVI, a w następnym stuleciu poważnie zniszczone w okresie wojny trzydziestoletniej – przez jakiś czas nie przejawiały tendencji

ekspansjonistycznych, a uwarunkowania geopolityczne, w tym zagrożenie tureckie, raczej skłaniały obie strony do współpracy i partnerstwa. Z tego zapewne powodu wczesny okres nowożytny ani nie jest dziś przedmiotem zasadniczych polsko-niemieckich historiograficznych sporów, ani też nie wywołuje większych emocji. Zupełnie inaczej sytuacja przedstawiała się na pograniczu wschodnim.

Powróćmy jednak, nawiązując do sformułowanych we wstępie uwag Michała Kopczyńskiego, do rozważań nad fundamentalną kwestią zawartości semantycznej pojęcia „naród”, którego to określenia – ze względu na dominujące, całkowicie nowoczesne jego rozumienie – staramy się tu unikać, wypowiadając się raczej na temat grup etnicznych, które znajdowały się dopiero w określonej fazie procesu narodotwórczego.

Proces formowania się nowoczesnych narodów, przypomnijmy, był wielokrotnie dyskutowany i ma ogromną literaturę. Wiadomo, że we współczesnym rozumieniu pojęcie to odnosimy na ogół do wspólnoty zamieszkującej konkretne terytorium, posługującej się odrębnym językiem (choć – wedle najnowszych ustaleń – nie jest to warunek *sine qua non*), a przede wszystkim mającej dostatecznie klarowną świadomość wspólnej przeszłości oraz kulturowych dokonań. Ważny w tym kontekście bywa też czynnik religijny, ale decydująca pozostaje kwestia świadomości, czyli poczucie przynależności do narodu oraz wspólnota kulturowa, ze wszystkimi tego emocjonalnymi oraz praktycznymi konsekwencjami.

Pojęcie to nie może być jednak swobodnie stosowane w odniesieniu do czasów wcześniejszych niż stulecie XIX, gdyż społeczeństwo przedprzemysłowe – zasadniczo podzielone na warstwy wyższe oraz na lokalne społeczności chłopskie – nie mogło jeszcze wykształcić wspólnoty narodowej, która przede wszystkim charakteryzuje się homogeniczną kulturą. Ta zaś kształtuje się dopiero w warunkach swobodnego przepływu informacji oraz jednorodnego systemu edukacyjnego (tak – już przed ćwierćwieczem – argumentował Ernest Gellner).

Dla okresu pierwszej Rzeczypospolitej fundamentalne znaczenie ma natomiast pojęcie „narodu politycznego”. Polska szlachta, która w epoce jagiellońskiej uformowała się ostatecznie jako odrębny stan, uzyskując status uprzywilejowany w stosunku do pozostałych grup społecznych, stworzyła wspólnotę quasi-narodową. Jej istotą było poczucie przynależności do stanu, któremu przysługiwały określone prawa i przywileje, ale zarazem wynikały z nich obowiązki o charakterze obywatelskim. Stan ten, a z pewnością bardzo liczni jego przedstawiciele poczuli się do odpowiedzialności za losy wspólnego państwa – Rzeczypospolitej.

Była to jednak grupa etnicznie zróżnicowana, bowiem w jej skład – ograniczony początkowo do potomków wielkopolskiego i małopolskiego rycerstwa – weszli także przedstawiciele elit społecznych o innej narodowej identyfikacji, przede wszystkim litewskiej oraz ruskiej. Ich poczucie wspólnoty oraz tożsamość zbiorowa z pewnością były odmienne, ale dobrowolnie akceptując przynależność do „narodu politycznego”, ulegali oni polonizacji. Proces ten nie dotyczył jednak wszystkich reprezentantów tak uformowanego stanu szlacheckiego. Część jego przedstawicieli kultywowała bowiem swoją odmienną religijną oraz kulturową, a nawet niekoniecznie posługiwała się językiem polskim, i z tego powodu należała przede wszystkim do wspólnoty politycznej, mającej zarazem swój wyraźny wymiar stanowy.

Podziały i odrębności etniczne nie pokrywały się zatem ze stanowymi. „Przynależność do jednej wspólnoty – wedle sformułowania Henryka Litwina – nie wykluczała wcale jednoczesnej przynależności do innej”, przy czym więzi oraz solidarność grupowa, przynajmniej w obrębie stanu szlacheckiego, odgrywały dominującą rolę. „Dostępny materiał źródłowy zdaje się dość jednoznacznie potwierdzać tezę, że poczucie wspólnoty szlacheckiej zdecydowanie górowało nad wszelkimi przejawami świadomości etnicznej” – to jedna z konkluzji

Tomasza Kizwaltera, odnosząca się do interesującej nas tutaj fazy polskiego procesu narodotwórczego.

Jak zatem – pamiętając o specyficznym charakterze ówczesnych podziałów etnicznych – postrzegać i sensownie opisywać wzajemne relacje polsko-litewskie, polsko-ukraińskie i polsko-białoruskie, ale też, co nie mniej istotne, litewsko-białoruskie oraz litewsko-ukraińskie? Czy raczej należałoby akcentować dobrowolność istniejących związków i wzajemne korzyści z nich płynące, czy też dopatrywać się nierówności we wzajemnych stosunkach, dominacji jednej ze stron i przez to ograniczenia szans rozwojowych słabszego partnera, co – wcześniej czy później – zaowocować musiało zasadniczym, strukturalnym konfliktem?

Czy więc, na przykład, unia polsko-litewska to przede wszystkim wynik długotrwałego procesu wzajemnego zbliżenia, zapoczątkowanego – jeszcze w okresie konfliktów z Krzyżakami – wyborem przedstawicieli dynastii jagiellońskiej na tron polski; czy też był to, jak chcą niektórzy, ewidentny przejaw polskiego ekspansjonizmu? Czy w wyniku tego historycznego wydarzenia Polacy wzięli na siebie ciężar powstrzymania rosyjskiej ekspansji na zachód, angażując się – być może niepotrzebnie albo za wcześnie – w długotrwały, wyniszczający konflikt, czy też w ten sposób poszerzyli po prostu sferę swojej dominacji o rozległe tereny rozciągające się na wschodzie? Czy polska kolonizacja kresów – tu dotykamy już bezpośrednio kwestii białoruskiej i ukraińskiej – przyniosła pozytywne efekty w sferze cywilizacyjno-gospodarczej, czy też rozpatrywać ją należy jedynie w kategoriach ekspansji i gwałtownego pogłębienia nierówności społecznych? Czy konflikt na Ukrainie postrzegać mamy jedynie przez pryzmat magnackich latyfundiów i kozackich powstań, a tym ostatnim – w duchu Sienkiewicza – przypisywać jedynie nieuzasadnioną agresję, połączoną z okrucieństwem, rabunkiem i zniszczeniem? Czy może raczej interesować nas będzie trwała niemożność znalezienia strukturalnych rozwiązań,

które mogłyby zadowolić obie strony i powstrzymać proces zbliżenia, a następnie podporządkowania się Ukrainy imperium rosyjskiemu, co w niedalekiej przyszłości przynieść miało tak fatalne skutki dla naszej państwowej i narodowej egzystencji?

Historykom zarzuca się często subiektywność spojrzenia, czy też utożsamianie się z jedną tylko opcją lub stroną konfliktu. Formułuje się na przykład pytania, chyba zasadne, czy profesjonalni badacze koncentrować się mają na studiowaniu własnej narodowej przeszłości, nie zapominając – rzecz jasna – o komparatystyce, czy może raczej powinni badać dzieje innych państw i społeczeństw, nie bacząc na trudności, jakie stwarza bariera językowa i kulturowa. Czy – to kolejne tego rodzaju wątpliwości – właściwa jest dominacja osób duchownych wśród uczonych badających i opisujących historię Kościoła (co wypadaloby uznać za naturalny efekt zainteresowań oraz kompetencji potencjalnych badaczy)? Ale może poprawne byłoby raczej stwierdzenie, że taka sytuacja grozi jednostronnością spojrzenia? Wreszcie, czy dzieje kolonializmu powinni opisywać potomkowie kolonizatorów, czy też raczej osoby wywodzące się z terenów kolonizowanych, a może właśnie ktoś trzeci, to znaczy historycy spoza grona „bezpośrednio zainteresowanych”?

Nie ma tu łatwych odpowiedzi, gdyż niezbędne kompetencje zdobywa się na ogół właśnie w środowisku daną tematyką żywotnie zainteresowanym, a więc bezpośrednio, często emocjonalnie, zaangażowanym. To samo odnosi się do potencjalnych odbiorców.

Ważniejsze niż dekretnowanie sfer zainteresowań i kompetencji wydaje się przeto, zwłaszcza w przypadku tematyki wywołującej ostre spory, konfrontowanie różnych opinii. Zabicie ten – jeśli czyniony w dobrej wierze – na ogół przynosi pozytywne skutki. Przypomnieć bowiem trzeba, że nie tylko narracja historyczna w sferze ocen i wartościowania rzadko bywa satysfakcjonująca dla wszystkich, których interesuje konkretne zagadnienie, ale że historia, nawet w swojej części

czysto faktograficznej, z zasady nie jest „sprawiedliwa”. Taką bowiem być nie może. Silni i bogaci zawsze lepiej dokumentowali własną przeszłość, wytwarzali więcej źródeł, których lektura, a następnie interpretacja stanowią podstawę naszej wiedzy o przeszłości. Ta „niesprawiedliwość” i dysproporcja zachowanych świadectw odnosi się zarówno do grup społecznych, jak też narodowościowych.

Polscy historycy wobec swoich kolegów zza szeroko pojmowanej wschodniej granicy są więc w niełatwej sytuacji; ich wypowiedzi na temat realiów politycznych, a przede wszystkim wzajemnych relacji pomiędzy poszczególnymi komponentami narodowościowymi tworzącymi dawną Rzeczpospolitą są bacznie obserwowane i komentowane. Zwłaszcza ostatnio „poprawność polityczna” w tym zakresie wydaje się coraz pilniej przestrzegana, co wprowadza dodatkowe zamieszanie terminologiczne. Emocje i spory potrafi bowiem budzić nie tylko unia lubelska z 1569 roku, inaczej postrzegana po stronie polskiej, a inaczej po litewskiej, czy wspomniana już kolonizacja Kresów Wschodnich oraz brak sensownego rozwiązania kwestii kozackiej. Kontrowersje budzi na przykład skład armii, która w 1410 roku pokonała Krzyżaków pod Grunwaldem (za niesłusznie pomijanych uważają się tu Białorusini), a także – analogicznie – struktura narodowościowa ekspedycji, którą dowodził książę Konstanty Ostrogski, odnosząc w 1514 roku sławne zwycięstwo nad wojskami moskiewskimi pod Orszą.

Powraca więc pytanie, jak należałoby postrzegać i poprawnie definiować miejsce Polaków w państwie, które tradycyjnie określano przecież mianem *Polonia* albo *Regnum Poloniae*, lub też *Corona Regni Poloniae*, a więc – odpowiednio – *Polską*, *Królestwem Polskim*, *Koroną Królestwa Polskiego*?

Jak wiadomo, od wieku XVI poczynając, ten specyficzny organizm państwowy, w którym prym wiodła polska szlachta, zaczęto powszechnie nazywać *Rzeczpospolitą* (*Respublica*), czyli państwem utożsamiających się z nim wolnych obywa-

teli. Późniejsza historiografia wprowadziła jeszcze określenie *Rzeczpospolita Obojga Narodów*, uznając równorzędną pozycję partnera litewskiego, ale tym samym umniejszając rolę wszystkich pozostałych – przede wszystkim Rusinów zamieszkujących Wielkie Księstwo. Szukając dzisiaj możliwie obiektywnego ujęcia, mamy przeto kłopoty terminologiczne, ale nie wydaje się, by całkowite zrezygnowanie z określenia *Polska*, na rzecz – w oczywisty sposób poprawniejszej – *Rzeczypospolitej*, było właściwym rozwiązaniem. Łacińskie tytuły dzieł Marcina Kromera, czy też Szymona Starowolskiego, opisujących ten skomplikowany organizm państwowy, zaczynały się przecież od słowa *Polonia*.

Jakie jednak – wracając do głównego wątku naszego rozumowania – było znaczenie wielokulturowego sąsiedztwa i wzajemnych w jego obrębie relacji, a potem wielonarodowościowej struktury państwa dla kształtowania się polskiej historii? To pytanie o zasadniczym znaczeniu, które warto stawiać także wtedy, gdy sformułowanie gruntownej, wyczerpującej odpowiedzi wydaje się nas przerastać.

Polskie dzieje, jeśli pokusimy się o ich maksymalną syntezę, określiły dwa czynniki o zasadniczym znaczeniu: przynależność do cywilizacji łacińskiej, wywodzącej się z kultury śródziemnomorskiej (co oznaczało otwartość na inspiracje kulturowe i cywilizacyjne stamtąd płynące) oraz umiejscowienie w fizycznym oddaleniu od jej głównych centrów – na pograniczu pomiędzy światem rzymsko-łacińskim a bizantyńsko-prawosławnym, z wszystkimi tego kulturowymi i politycznymi konsekwencjami.

Granica przede wszystkim dzieli, służy podkreśleniu odrębności. Jednocześnie jednak – na co zwracał niedawno uwagę Henryk Samsonowicz, nawiązując do rozważań Davida Abulafii – granica, jako punkt styczny, potrafi także łączyć, a w każdym razie na obszarze po obu jej stronach powstaje nowa jakość. Dla tkanki życia społecznego, a przede wszystkim dla kształtu kultury pogranicznych regionów szczególnie ważne

bywa przekraczanie granicy oraz kulturowa osmoza, jaka się wtedy dokonuje. To dlatego zróżnicowane sąsiedztwo oraz wielonarodowa struktura wewnętrzna odegrały w polskich dziejach tak doniosłą rolę.

Dla okresu średniowiecza zdecydowanie ważniejsze wydaje się przy tym oddziaływanie Zachodu – presja polityczna ze strony Niemiec oraz nowoczesne, jak na owe czasy, impulsy cywilizacyjne, których symbolem stała się „kolonizacja na prawie niemieckim” – wielki ruch osadniczy, ożywiający miejscową gospodarkę i wzbogacający tkankę społeczną. Natomiast u progu czasów nowożytnych dominująca okazała się presja polityczna ze strony wschodniej, która stopniowo wymagała coraz bardziej stanowczej reakcji, zwłaszcza że nie towarzyszyło jej stymulujące oddziaływanie w sferze gospodarki oraz kultury.

Rosnąca potęga państwa moskiewskiego i jego konsekwentna ekspansja w kierunku zachodnim stwarzały coraz poważniejsze problemy i zagrożenia, którym – w dłuższym okresie – Rzeczpospolita nie była w stanie sprostać. Struktury Rzeczypospolitej „szlacheckich obywateli” okazały się zbyt słabe, by zaspokoić rosnące potrzeby państwa; zapewnić jego mieszkańcom bezpieczeństwo, zbudować nowoczesną armię i administrację. Brakowało też niezbędnej determinacji wśród tych sił społecznych, które dostrzegały potrzebę i ewentualnie byłyby w stanie przeprowadzić głębokie, modernizujące reformy.

Zarazem jednak w tym samym państwie powstały warunki, w których dobrze czuła się znaczna część jego mieszkańców, co najwyraźniej doceniali coraz liczniejsi przyjezdni, spośród których rekrutowali się potencjalni imigranci. Tytuł książki Janusza Tazbira, *Państwo bez stosów*, stał się ważnym symbolem naszego myślenia o takiej właśnie Rzeczypospolitej, w której dominowała wolność i tolerancja (choć w pełni korzystać z niej mogli tylko przedstawiciele stanu uprzywilejowanego); o państwie pokoju religijnego, o państwie zasadniczo nie opresyjnym wobec swoich obywateli, a przez to atrakcyjnym dla sąsiadów, a więc także dla przybyszy.

Mieszkańcy miast pruskich woleli przecież być raczej pod polskim niż krzyżackim panowaniem i dlatego trzynastoletnia wojna z Zakonem została rozstrzygnięta na naszą korzyść. Elity litewskie pragnęły związku z Koroną, bo bardzo odpowiadały im przywileje, jakimi cieszyła się polska szlachta. Dopiero konsekwencją takiego nastawienia była polonizacja najbardziej wpływowych rodów, z Radziwiłłami na czele. Kozacy też byli gotowi „służyć Rzeczypospolitej”, a prawdziwe problemy zaczęły się właśnie wtedy, gdy zostali tej możliwości pozbawieni. Gdańsk, rozwijający się i bogacący dzięki handlowemu pośrednictwu pomiędzy Rzeczpospolitą i jej zachodnioeuropejskimi partnerami, przez dziesięciolecia czujnie strzegł swojej autonomii; nad Motławą zdawano sobie jednak doskonale sprawę, że odcięcie od polsko-litewskiego zaplecza byłoby równoznaczne z końcem handlowej prosperity. To dlatego właśnie niemiecki z pochodzenia patrycjat gdański nie otworzył dobrowolnie bram miasta ani przed szwedzkimi najeźdźcami, ani nawet przed królem Prus, Fryderykiem II.

Rozległe terytorium Rzeczypospolitej, nieprzypadkowo określanej jako *aurifodina advenarum*, czyli „kopalnia złota dla przybyszy”, stwarzało bez wątpienia duże szanse dla imigrantów, zaś państwo relatywnie tolerancyjne i nieskłonne do represjonowania swoich obywateli dodatkowo przyciągało tych, którym w domowych pieleszach represje zagrażały. Dotyczyło to przede wszystkim różnowierców oraz przedstawicieli grup narodowościowych, które gdzie indziej były gorzej traktowane. Zapewne także dlatego owych „wmieszanych Polaków”, jak – przypomnijmy – sam się określił Hieronim Wietor, krakowski drukarz pochodzący ze Śląska, było tak wielu.

Jednak – zwłaszcza w sytuacjach zagrożenia bytu państwowego oraz kwestionowania terytorialnej integralności – wzajemne relacje „przybyszy” oraz „miejsowych” nie mogły być i nie były sielankowe. Licznym reprezentantom staropolskiego społeczeństwa nieobca była przecież narodowa megalomania

mania. „Zgoła taka sama fama i w Niemczech, i w Holandyi o nas Polakach, że to sam jeden naród na świecie najgrzeczniejszy, najgładszy, najludzszejszy” – pisał w 1645 roku Krzysztof Opaliński do brata, Łukasza, odnosząc się chełpliwie do szerokiego rezonansu, jaki na trasie przejazdu wywołało jego poselstwo do Paryża po królową Marię Ludwikę. Takie przekonanie – chętnie uzewnętrzniane – także było częścią sarmackiej kultury i szlachecko-pańskiej mentalności.

Stosunek do cudzoziemców oraz do przedstawicieli innych grup narodowościowych był przeto wypadkową gościnności i ksenofobii, których wzajemne proporcje bardzo trudno jest dziś określić. Wraz ze stopniowym pogarszaniem się koniunktury oraz warunków zewnętrznych, na porządku dziennym stawała kwestia odpowiedzialności za państwo i gotowości świadczenia na jego rzecz. Nie wszyscy przedstawiciele grup napływowych mogli – i chcieli – tak rozumiany „egzamin z patriotyzmu” zdać na zadowalającą ocenę. Tymczasem sytuacje kryzysowe, wraz ze słabnięciem struktur państwa, powtarzały się coraz częściej. Wywoływało to zrozumiałą krytykę cudzoziemców ze strony szlacheckich obywateli; „gospodarze” wytykali „gościom” nieodpowiednie zachowanie, co dodatkowo pogarszało wzajemne relacje.

Spektakularne konflikty, dodajmy, bywają przy tym dużo lepiej i sugestywniej opisane w źródłach niż sąsiedztwo wzajemnie aprobowane i przebiegające w pełnej harmonii. Być może więc konflikty te zostały w naszej świadomości wyolbrzymione.

Opisanej tu pokrótce wielonarodowej strukturze, która w istocie powstała na zasadzie dobrowolności, przyszło potem – pod zaborami, a więc w okresie przyspieszenia procesów narodotwórczych – funkcjonować w obrębie sąsiednich, obcych państw. W odmiennych warunkach ewoluowały więc formy współżycia, a także wzajemne relacje pomiędzy Polakami oraz innymi grupami narodowymi, wśród których pojawili się – na odpowiednio eksponowanych pozycjach – reprezentanci państw zaborczych. Mimo niesprzyjających okoliczności, co warte

podkreślenia, także wtedy w wielu przypadkach potwierdziła się atrakcyjność polskiej kultury, choć jej promieniowanie obiektywnie było już znacznie bardziej utrudnione.

Jednak nieuchronnie pojawiały się także nowe płaszczyzny konfliktów, które wpływały na stan sąsiedzkich relacji i które tak krwawe owoce przynieść miały w XX stuleciu; w wieku totalitaryzmów, masowych wysiedleń i eksterminacji, a także najokrutniejszych zbrodni mających podłoże narodowościowe. Na wzrost antagonizmów wpłynęły także gwałtowne zmiany terytoriów poszczególnych państw, często dokonywane w sposób arbitralny. Z okresu tego Polacy wyszli niewątpliwie bardzo poturbowani, ale też – można chyba wyrazić takie przekonanie – mądrzejsi o kolejne trudne doświadczenia oraz nauki z historii płynące.

Współczesne myślenie o polskości w kontekście pluralizmu kulturowego i narodowościowego musi przeto, to chyba oczywiste, uwzględniać intensywne zmiany zachodzące w naszym najbliższym oraz dalszym otoczeniu. Ich istotą wydaje się gwałtowne przyspieszenie europejskich procesów integracyjnych, przy równoczesnym renesansie świadomości oraz więzi lokalnych, wiążących się z pojęciem tzw. „małych ojczyzn”. W zmieniającej się Europie tradycje Rzeczypospolitej szlacheckiej – mądrze interpretowane – mogą przeto okazać się bezcenne, stać się jednym z fundamentów budowania wzajemnych relacji.

Należałoby tylko zadbać, by tendencje do poszukiwania własnych, lokalnych tożsamości pozbawione były akcentów politycznych, albo chociaż, by były one drugorzędne. Jeśli ten warunek zostanie spełniony, „małe ojczyzny” w najmniejszym nawet stopniu nie będą zagrażały istniejącym strukturom państwowym; nie będą więc miały w sobie ładunku destrukcyjnego, co w efekcie zminimalizować musi liczbę ich realnych oraz potencjalnych przeciwników. Doświadczenie historyczne Rzeczypospolitej wielu narodów oraz lekcje z tych doświadczeń płynące powinny w tak nakreślonym procesie odegrać doniosłą rolę.